

Historia zapisana w adresie

O nowej akcji Instytutu Pamięci Narodowej „Patroni naszych ulic” z prezesem **dr. Łukaszem Kamińskim** rozmawiają **Andrzej Brzozowski** i **Karolina Wichowska**.

Do lutowego numeru „Pamięci.pl” dołączyliśmy broszurę z życiorysem gen. **Augusta Emila Fiedorfa** pseud. „Nil”. Można powiedzieć, że to inauguracja projektu IPN „Patroni naszych ulic”. Na czym on polega?

Projekt jest kontynuacją działań, które Instytut prowadzi od wielu lat. Zachęcamy samorządy do zmian tych nazw ulic, które są związane jeszcze z systemem komunistycznym.



General August Emil Fieldorf „Nil” (1895–1953)

Błogosławiony Ksiądz Jerzy Popiełuszko (1947–1984)

Ich utrzymywanie, a więc pewna forma gloryfikacji komunizmu, jest bolesne dla ofiar i sprzeczne z systemem wartości, do którego odwołuje się dzisiejsza Polska. Teraz chcemy też przekonać mieszkańców, że warto mieć dobrego patrona ulicy z grona bohaterów XX wieku. Warto zmienić np. ulicę gen. Świerczewskiego na gen. Okulickiego, nawet jeśli zmiana wiąże się z pewnymi niedogodnościami. Drugi element naszego projektu to popularyzowanie wiedzy o postaciach, których nazwiska widnieją na tabliczkach. Nie jesteśmy w stanie – nie leży to zresztą w kompetencjach

IPN – zadbać o dostarczenie informacji na temat wszystkich patronów ulic, ale chcemy zwrócić uwagę na osoby szczególnie ważne w najnowszej historii Polski. Nawet w rozmowach towarzyskich zdarza się, że ktoś podaje adres, a gdy pada pytanie: „A kto to był?”, to pojawia się problem z odpowiedzią. Mam nadzieję, że po naszej akcji mieszkańcy tych ulic nie będą już mieli takich kłopotów, a wręcz przeciwnie – będą promować te postaci.



Jakie to będą postaci i co zadecydowało o ich doborze?

Będą to osoby, w których popularyzację IPN już nieraz się angażował, oprócz gen. Fiedorfa także rtm. Witold Pilecki, gen. Leopold Okulicki i bł. ks. Jerzy Popiełuszko. Są to jednocześnie postaci, które patronują dużej liczbie ulic w Polsce, więc grono bezpośrednio zainteresowanych będzie szerokie. W następnych latach zamierzamy dobierać po kilku kolejnych patronów. Będą to osoby, które odegrały ważną i pozytywną rolę w historii Polski, także te mniej znane. Chętnie będziemy współdziałać na tym polu z samorządami, które zechcą jakiejś ulicy nadać imię postaci może mniej znanej w skali kraju, ale ważnej dla danego regionu lub miejscowości. Zamierzamy wysłać broszury o bohaterach w formie druków bezadresowych, a także nadal będziemy zachęcać samorządy do zmiany patronów niechlubnych. Zapraszamy do współpracy nie tylko samorządy, lecz także wszelkie organizacje społeczne, wspólnoty lokalne. Nie ukrywam zresztą, że inspiracją dla nas była inicjatywa Adama Migo, mieszkającego w Krakowie przy ulicy płk. Józefa ▶





Herzoga. Aby przybliżyć swoim sąsiadom postać patrona ulicy, każdemu z nich podarował książkę o życiu pułkownika.

Kiedy zmienia się np. ulicę Pawła Findera na rtm. Witolda Pileckiego, mieszkańcom trudno jest bronić starego patrona i występować przeciwko nowemu. Jeśli jednak – tak jak około dwudziestu lat temu – ulica Stołeczna, nazwana tak jeszcze przed wojną, zostaje zmieniona w ulicę ks. Popieluszki, ludziom trudno się odzwyczaić od starej nazwy, nawet jeśli szanują nowego patrona. Podobnie było z rondem Babka przemianowanym na rondo Zgrupowania AK „Radosław”. Jak w takich sytuacjach przekonać mieszkańców, że zmiana patrona ma sens?

Nie jest to problem nowy, podobne sytuacje miały miejsce także w II RP. Całkiem niedaleko od ulicy nazwanej imieniem ks. Jerzego znajduje się ul. płk. Leopolda Lisa-Kuli. Do 1928 roku była to swojska ulica Tania, jednakże zdecydowano się zmienić tę nazwę, aby uhonorować jednego z bohaterów walki o niepodległość. W takich sytuacjach potrzebna jest debata wśród danej społeczności. Trzeba w niej unikać stanowisk skrajnych, tzn. takich, że raz nadanej nazwy nie można nigdy zmienić, a z drugiej strony, że wszystkie ulice koniecznie muszą mieć za patronów postaci historyczne. Pamiętajmy jednak, że system wartości, który wyznajemy, przejawia się także w tym, kogo wybieramy na patronów ulic i placów, komu stawiamy pomniki.

Główne ulice miast, w prestiżowych lokalizacjach, od dawna są zajęte. Tymczasem próba nadania imienia bohatera ulicze w nowej, peryferyjnej dzielnicy, bywa czasami komentowana jako niedostateczne uhonorowanie. Warto w takich sytuacjach walczyć o tabliczkę w centrum?



Myślę, że należy przełamać takie schematy myślenia, że tylko ulice w centrum są ważne. Miasta przecież się rozwijają, ulice początkowo peryferyjne z czasem nabierają większego znaczenia. Najważniejsze, żeby patroni historyczni występowali w przestrzeni miejskiej – nawet jeśli czasem będą to ulice na obrzeżach miast, to i tak będzie to miało znaczenie z punktu widzenia kształtowania świadomości społecznej.

Czy Pana zdaniem debata z mieszkańcami powinna się odbywać także, jeśli planowana jest zmiana nazwy ulicy pochodzącej z czasów komunizmu? Do dziś w kilku miejscach w Polsce są ulice Armii Czerwonej, PPR czy PKWN. Czy przyzwyczajenie mieszkańców do takich nazw jest wystarczającym usprawiedliwieniem dla ich pozostawienia?

Debata jest konieczna w przypadku zamiaru zmiany historycznych nazw ulic, ale neutralnych, takich jak wspomniana Stołeczna. Jeśli natomiast chodzi o nazwy promujące komunizm, to władze samorządowe powinny samodzielnie



nie podjąć odpowiedzialną decyzję. Sprawowanie władzy nie może polegać na przerzucaniu każdej decyzji na mieszkańców.

Takie decyzje podejmowano zresztą na początku lat dziewięćdziesiątych. Od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat i zdawałoby się, że akcje takie jak ta, o której rozmawiamy, w ogóle nie powinny być potrzebne. Tymczasem jest inaczej. Zaniechano czegoś tuż po zmianie ustroju?

Zmiana nazw ulic wywodzących się z komunizmu była jedną z tych spraw, których załatwienie po 1989 roku wydawało się tak oczywiste, że szybko uznano problem za zamknięty. Większość niechlubnych patronów zniknęła, ale setki z nich wciąż pozostały. To było nasze wspólne zaniedbanie. Ale wtedy też nikt nie przypuszczał, że

setki z nich wciąż pozostały. To było nasze wspólne zaniedbanie. Ale wtedy też nikt nie przypuszczał, że

nastąpi w jakiegokolwiek formie zjawisko nostalgii za PRL. Ta nostalgia pojawia się zresztą nie tylko u nas, podobnie jest w Niemczech – mówi się tam o tzw. ostalгии (niem. *Ost* – wschód), czyli tęsknocie za NRD. To świadczy nie tylko o tym, że pewnych rzeczy w latach dziewięćdziesiątych nie dokończyliśmy. To także sygnał, że uczenia o tym, czym był system komunistyczny, nigdy nie wolno przerywać, bo pojawiają się wciąż nowe pokolenia i zaciera się pamięć o złych zjawiskach, a to jest właśnie podglebiem nostalgii.

Stąd potem biorą się nazwy w rodzaju „szynki »jak za Gierka«, co ma być chwytym reklamowym, a jednocześnie sugeruje, że za Gierka było dobrze. Ten właśnie I sekretarz jest zresztą patronem ronda...

...i to kolejny dowód na to, jak potrzebna jest akcja „Patroni naszych ulic”. Poza tym jesteśmy skazani na nieustanne przypomnianie, że jedynie na tle innych przywódców PRL Gierka być może wypada nieco lepiej. Ale to przecież wcale nie znaczy, że pod jego rządami PRL przestała być dyktaturą! Dekada gierkowska to okres najgłębszego kryzysu ekonomicznego w całych naszych powojennych dziejach, sytuacja z lat osiemdziesiątych była już tylko jego kontynuacją; trzeba pamiętać, że w czasach Gierka Służba Bezpieczeństwa nie tylko nie zanikła, ale wręcz się rozwijała – to właśnie wtedy powstały osławione grupy „D”, odpowiedzialne później m.in. za morderstwo na ks. Jerzym Popiełuszcze; trzeba przypominać także Czerwiec 1976, dzieje opozycji demokratycznej – to jest wyzwanie edukacyjne.

O ile skutkiem braku wiedzy może być niechęć mieszkańców do zmiany nazwy ulicy np. Teodora Duracza – bo ta postać jest dość słabo znana – o tyle trudno uwierzyć, żeby ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, że Armia Czerwona to sprawca zniewolenia Polski. A jednak wielu ludziom nie przeszkadzają tabliczki z tą nazwą na ich ulicach. Podobnie jak twórcom reklamy pewnego operatora telefonii komórkowej nie przeszkadzało przedstawić Lenina w pozytywnym świetle, jako symbolu lepszej taryfy...

To także skutek braku edukacji. Przypuszczam, że tę kampanię wymyśliła osoba młoda, której zabrakło nie tylko wiedzy, ale i pewnej wrażliwości. Dla jakiejś części ludzi komunizm nie jest czymś w sposób oczywisty złym. Inaczej jest z nazizmem, który po wojnie został osądzony i jednoznacznie potępiony. Został też pokonany w momencie popełniania największych zbrodni. Upadek komu-



nizmu nastąpił, kiedy zbrodnie były już znacznie rzadsze niż na początku, chociaż wciąż były. Inny na pewno byłby efekt, gdyby wojska alianckie wkroczyły do gułagów i je wyzwoliły, dokumentując zbrodnie Stalina. Zresztą Zachód długo nie mógł, albo raczej nie chciał, uwierzyć w zbrodnie Sowietów. Rezultat tej różnicy w upadku obu totalitaryzmów jest taki, że wykorzystywanie symboli nazistowskich w marketingu jest tabu i poza incydentami w zasadzie się nie zdarza, inaczej natomiast jest w przypadku komunizmu. Trzeba jednak przyznać, że tym razem pewna granica została przekroczona i w ciągu kilkunastu godzin powstała duża akcja społeczna przeciwko reklamie z Leninem. Problem ten ma też inny aspekt. Kilka miesięcy temu prezydent Bronisław Komorowski słusznie zauważył, że mamy w Polsce – i bardzo dobrze, że mamy – sporo muzeów poświęconych ofiarom nazizmu, ale ani jednego upamiętniającego ofiary komunizmu. Żaden areszt UB nie został przekształcony w muzeum, które pozwalałoby dotknąć tych zbrodni. Przekazywanie wiedzy o tym okresie sprowadza się zazwyczaj do suchej informacji w podręczniku, że zginęły wówczas dziesiątki tysięcy osób. Dopóki nie przełożymy tego na konkret, nie pokażemy miejsca ani ludzi, którzy padli ofiarą, dopóty te zbrodnie pozostaną abstrakcją. To powoduje i niepamięć, i brak wrażliwości. Dlatego tak dużą wagę przywiązujemy do programu „Śladami zbrodni”, w którym dokumentujemy miejsca zbrodni stalinowskich w Polsce [fragment albumu *Śladami zbrodni* prezentujemy na ss. 35–38]. Zależy nam na przywróceniu tych miejsc do powszechnej





świadomości, a także na ocaleniu wciąż istniejących pozostałości tamtego czasu. W kilkudziesięciu miejscach wciąż widoczne są napisy, które więźniowie wryli na murach kazamat. Szczególnym przykładem jest budynek przy ul. Strzeleckiej 8 w Warszawie, siedziba NKWD, a następnie UB. To jedno z miejsc, w których mogłoby powstać muzeum ofiar komunizmu. Powinno ono być utworzone nie tylko o myślą o tych, którzy w ogóle komunizmu nie doświadczali, ale także o tych, którzy kojarzą komunizm z szynką z czasów Gierka albo pamiętają okres zupełnie schyłkowy, który wydaje się niegroźny – choć ostatnie ofiary komunizmu padły jeszcze w 1989 roku, o czym często się zapomina.

Wracając do zmian nazw ulic: czasami pojawiają się kontrowersje, czy dany patron na pewno powinien zniknąć z tabliczki na domach. Tak bywa w przypadku poetów kolaborujących z komunizmem, takich jak Bruno Jasiński.

Rzeczywiście, czasami trudno jest stworzyć jasne kryteria. Ale akurat Bruno Jasiński jest dobrym przykładem kogoś, kto mimo osiągnięć literackich nie powinien patronować ulicy czy szkole, bo był bezpośrednio zaangażowany w budowanie systemu komunistycznego, a więc odpowiada za zło, które wówczas się działo. Owszem, potem sam padł ofiarą czystki. Ale, jak śpiewał Jacek Kaczmarski, „niechby się inaczej zgięła historii sprężyna, a rehabilitowalibyśmy dziś Stalina”. Dlatego chociaż nie zawsze da się wytyczyć ostrą granicę oddzielającą tych, którzy mogliby być patronami ulic, od tych, którzy nie powinni, to kryterium jej ustalenia może być właśnie to, czy dany człowiek brał udział w tworzeniu zbrodniczego systemu. Z takich zapewne przyczyn już kilka lat temu swoją ulicę w Warszawie stracił inny poeta – Lucjan Szenwald.

Może się zdarzyć i tak, że jakaś społeczność lokalna jest przywiązana do patrona ulicy, który walczył w czasie wojny z Niemcami, kolegów z AK nie mordował, ale należał do szeregów Armii Ludowej. Co wtedy?

Takie przypadki należy rozpatrywać indywidualnie. Co innego sama Armia Ludowa, której imię nosi duża ulica w Warszawie. To było zbrojne ramię PPR i jej celem, owszem, doraźnie była także walka z Niemcami, ale ostatecznie było nim wprowadzenie w Polsce systemu komunistycznego. Można się zastanawiać, czy w pewnych sytuacjach komunistę mógłby być patronem ulicy, jeśli np. zginął w czasie wojny i nie dożył czasów Polski Ludowej. Ale pamiętajmy, że przed wojną Komunistyczna Partia Polski głosiła hasła sprzeczne z ideą niepodległości Polski i realizowała zadania wywiadowcze na rzecz Związku Sowieckiego. Odpowiedź brzmi zatem: nie, komuniści nie powinni w Polsce mieć swoich ulic.

Nie brakuje też tablic pamiątkowych informujących o tym, że w danym miejscu Gwardia Ludowa albo Armia Ludowa przeprowadziły akcję, w wyniku której zginęli Niemcy. Takie pamiątki są np. w Warszawie na budynku Dworca Śródmieście czy przy rondzie de Gaulle'a, są na nich gwiazdy bolszewickie. Powinny zostać?

To jest kolejne pytanie: jak daleko należy się posunąć w likwidowaniu symboli komunizmu z przestrzeni publicznej. Są tacy, którzy chcieliby zburzyć Pałac Kultury, podobnie jak przed wojną rozebrano cerkiew na Placu Saskim, bo była symbolem rosyjskiej dominacji. W Niemczech z kolei pozostawiono w Norymberdze wielki kompleks budynków służących zjazdom partyjnym NSDAP i to miejsce służy dziś mówieniu prawdy o przeszłości. Ten model można zastosować w przypadku wspomnianych tablic. Należy dodać do nich plakietki informujące, czym była Gwardia Ludowa, na ile prowadziła walkę z Niemcami, a na ile była sowiecką agenturą. 🇵🇱

